

Miasto złocistych pałaców i strzelistych pagod

Pekin, stolica cesarska

Szanghaj jest perłą Wschodu, Pekin jest czymś więcej. Wśród wielkich centrów świata, których zwiedzenie należy do dobrego tonu wytwornego — i oczywiście zamożnego — globrottera, dawna stolica cesarzy chińskich zajmuje stanowisko wyjątkowe ze względu na egzotyczne piękno, w którym odbija się tysiącletnia historia Chin.

OBRAZ WSPÓŁCZESNEJ AZJI

Położony na skrzyżowaniu dróg, wiodących z pustyni Gobi i dalekich stepów mongolskich, zaludnionych przez koczownicze plemiona, do żyznych nizin Żółtej i Niebieskiej rzeki, z jej od wieków osiadłą, rolniczą, na wysokim poziomie kulturalnym, stojącą ludnością, był Pekin centrum krzyżowania się wpływów cywilizacyjnych dzikiej północy i kulturalnego południa.

Wpływy te odbijają się w topografii miasta. Na północy rozciąga się tak zwane miasto tatarskie, oddzielone murem od właściwego Pekinu. Tędy z południa na północ wiodzie główna droga, którą dziś jeszcze, jak przed tysiącami lat, przeciągała karawany hadlowe. Tu znajduje się główna brama miejska Chien-Men, z miasta tatarskiego prowadząca do centrum chińskiego.

I wystarczy przebyć kilka godzin w pobliżu bramy, aby naoczywiście sobie uzmyslić najbardziej istotny obraz współczesnej Azji. Tu jeszcze dziś, jak w odległych, bardzo odległych wiekach, krzyżują się najróżnorodniejsze typy, ruchliwi Chińczycy południa i wolni, barczyści, o śniadych cerach, przedstawiciele Mongolii. Najdawniejsza przyszłość i najbardziej dzisiejsza współczesność.

MIESZANINA RAS I RELIGII
Obok małych, przez osy ciągniętych, wózków, na których chłopcy chińscy od wieków przenosili swój dobytek, zwinnie luksusowy samochód amerykański.

skiego turysty, dla rozrywki błądzącego po dalekich szlakach Wschodu — wielbłądzie karawany, które w dwudziestu dniach przebywają drogę od pustyni Gobi do Pekinu, i wspaniałe nowoczesny autobus, który, gdyby istniały dobre drogi, mógłby w kilku dniach przebyć tę przestrzeń, a dla ich braku zadawał się przewożeniem ciekawych turystów do odległego od Pekinu o kilka godzin drogi konnej, słonecznego pałacu, w ciągu nie całej pół godziny.

Tu stykają się biedni, do ostatnich granic wyzyskiwani kulis i amerykańscy i chińscy milionerzy szanghajscy, którzy swe skarby złote ulokowali w bezpiecznych chińskich, amerykańskich czy europejskich bankach.

Tędy przez bramę Chien-Men przesuwają się codziennie ciekawe wrażeń Amerykanki, uśmiechnięci zawsze Japończycy, którym nie zawsze zależy na wrażliwości turystycznych, poważni, skupieni z fanatycznym błyskiem w oczach kapłani tybetańscy, buddyjscy i t. p., jednym słowem — mieszanina ras i religii, różnorodna, wiecznie gdzieś otwartym zlakiem podążająca, żyjąca jakby poza czasem i przestrzenią.

OD DZINGISCHANA DO REPUBLIKI

Takim rojowiskiem ludzkim był Pekin za Dżingischaną, którego hordy niszczyły i nagromadzone tu wiekową pracą bogactwa, takim pozostał za czasów cesarstwa, taki jest Pekin republikański. Chińczycy pokazują w głównej pagodzie na ołtarzu niebios kamień, na którym w wielkie uroczystości siadał cesarz. Tu jest środek świata, mawiają z dumą. Nie wiadomo czy właśnie tu znajduje się centrum globu, zdaje się jednak, że na nazwę tę zasługuje raczej brama Chien-Men, gdzie daleka przeszłość styka się codziennie, co godzinę niemal z współczesnością.

Nie wiadomo także, czy słusznym jest pogląd, wyrażany z dumą przez lokalno-patriotyczną ludność Pekinu, że miasto to jest ośrodkiem świata. Na pewno jednak jest to najlepiej rozplanowane miasto na ziemi. Jego ulice wiodą prosto w czterech głównych kierunkach, ze wschodu na zachód i z południa na północ. Kulis, ciągnący lekką, zwinną ryksę, rozdał lektyki na kołach, którą, coraz rzadziej wprawdzie, parady europejski turysta, hołdujący snobizmowi ubiegłych lat, zapytany o kierunek, oświadcza:

„Teraz musimy jechać na południe, a następnie skręcić na wschód”. Zabłądzić w Pekinie, mimo olbrzymiej ilości ulic w tym mieście, prawie niepodobna, mimo, że jest to pod względem obszaru jedno z największych miast świata.

Rozplanowanie miast jest niezwykle proste. Na północ ciągnie się dzielnicą tatarską, na południe dzielnicą chińską. Między jedną i drugą ciągnie się zakazane miasto pustych dziś pałaców cesarskich z ich pozłacanymi dachami i strzelistych pagód.

Z teatru o teatrze

Nie złe ale nie potrzebne

TEATR NARODOWY „POWRÓT PRZELĘCKIEGO”. SZTUKA W 3-CH AKTACH JERZEGO ZAWIEYSKIEGO

Podjęcie tematu poruszanego przez innych to rzecz powszechna tak w twórczości literackiej, jak i w życiu; ale uzupełnianie dalszym ciągiem dzieła zamkniętego, po śmierci jego twór-

Tem jaskrawiej odbija na ich tle nowa stworzona przez Zawieyskiego postać Gabryśia. Ten jest prawdziwy, realny.

Mówią, że sztuka Zawieyskiego zmusza do ponownego przemyślenia zagadnień poruszonych w „Przepełnieniu”. Nie trzeba przesadzać. Problemy „Przepełnienia” nie mają w sobie nic monumentalnego, nie spiżowego problem — antynomia egoizmu jednostki, instynktownie dążącej do osobistego szczęścia i — obowiązku dokończenia rozpoczętego dzieła o zasięgu społecznym — to problem życia codziennego, który dawno rozwiązała etyka chrześcijańska.

Zeromski nie powiedział w „Przepełnieniu” nie rewelacyjnego, tylko z wielkim artystycznym realizmem pokazał tragedię dusz ludzkich, noszących na sobie jakąś skazę, jakąś niemoc i zerkających z życiem powlekających się mrokiem pesymizmu i bólu.

Zawieyski, snując wątek „Przepełnienia” każe ponownie Smugoniowi pracować z uporem nad dziełem Przepełnieniem pod groźbą jego powrotu i utraty żony. Trudno do takiej intencji czynu odnosić się z sympatią. Każde Przepełnienie, tragicznej postaci człowieka unieszczeniowego przeżywa nym konfliktem: instynkt — obowiązek, wracać po dziesięciu latach do swego dzieła i, widząc jego nieuchronny upadek, przeżywać nową tragedię. Ale ta tragedia widzimy nie wstrząsa. Przepełnienie, jako człowiek niezwykle, powinien zrozumieć, że jego dzieło: kursy wakacyjne dla nauczycieli — przeszło swój okres celu rozwoju i znaczenia i — stało się niepotrzebne, wobec istnienia lepiej zorganizowanych instytucji. Każde wrzecie wrócić do życia ludziom kiedyś młodym: Zabrzeźniemu i Ciekockiemu i patrzeć melancholijnie na schyłek dzieła ich młodości, dzieła w które włożyli tyle entuzjazmu, Przeciwistawia im młodego działacza — Gabryśia, który, — również z młodzieńczym zapalem i entuzjazmem — rozpoczął pragnie podobną pracę, ale opartą na innych założeniach i o innych, wobec zmienionych warunków, celach, a przedtem chce zburzyć dzieło poprzedników.

Nie ma potrzeby się roztkliwiać. To

Choroba telefoniczna szerzy się epidemicznie

Na kongresie neurologów amerykańskich w Filadelfii rozważano ciekawy temat „Wpływ postępu technicznego na nowe objawy choroby nerwowej”. Lekarze jednogłośnie stwierdzili, że udoskonalone środki techniczne jako też nowe zdobycze postępu niejednokrotnie przyczyniają się do pobudzenia lub też do przesilenia choroby nerwowej.

W jednej z klinik umieszczono dwóch biznesmanów, którzy nie mogli żyć bez telefonu. Spoczywając nawet w lecznicy musieli mieć pod ręką telefon by prowadzić ustawiczne rozmowy, w tym wypadku oczywiście fikcyjne. Zadaniami lekarzy było drogą stopniowych zabiegów usunąć chorobę, przyczyniła się do całkowitego uspokojenia skołatanych nerwów.

W dyskusji lekarze doszli do przekonania, że choroba telefoniczna jest już rozpowszechniona wśród mas ludzi, którzy są pod stałym atakiem dzwonek telefonów. Objawy jej są przeważnie starannie ukrywane, nie mniej jednak po pewnym czasie musi się ona wyładować w postaci zaburzeń nerwowych wiodących do przykrych konsekwencji.

Film niemiecki według sztuki Zapołskiej

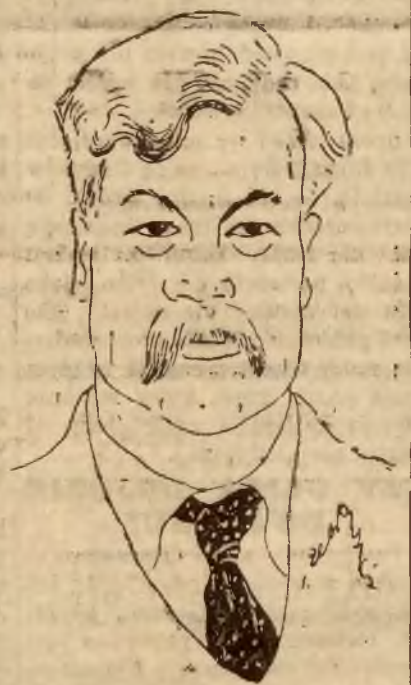
Około sierpnia br. na ekranach niemieckich ukaże się film p. t.: „Warschauer Zitadelle” oparty na sztuce Gabrieli Zapołskiej „Tamten”, a przełożony już dawniej na język niemiecki pod wyższym tytułem dla teatru.



Przełęcki (Juliusz Osterwa)

cy — to rzecz niezwykła, odpowiedział i ryzykowna. Jerzy Zawieyski podejmując wątek „Przepełnienia” zeromskiego i tworząc jej „dalszy ciąg”, dowiódł swej odwagi, wiary we własne siły, ale też wykazał dużo pietyzmu dla Zeromskiego (czego brak zarzucali mu niektórzy).

Pietyzm ten objawił się przede wszystkim w ograniczeniu własnej swobody. Zawieyski powtarza rysunek postaci „Przepełnienia”, jej to wiernie i starannie. To właśnie staje się słabą, może najsłabszą stroną jego utworu. Postaci „Przepełnienia”, powołane do życia przez Zeromskiego kończą swój żywot na ostatniej karcie tej książki; zmuszone do zmartwychwstania przez Zawieyskiego, ukazują się już bledsze, mniej żywotne, papierowe. Ich sprawy, uczucia i idee mają również charakter sztuczny, możnaby powiedzieć — laboratoryjny.



Smugoni (Dominianiak)

na. Przełęcki mógłby do Porębian nie wracać, a jeśli to już zrobił, i znów odszedł, niczego nie dokonawszy, to niechaj ten powrót będzie — jak słusz-



Gabrys (Stefan Hnydziński)

aktorem wysokiej klasy, ale rola Smugonia nie była dlań całkowicie odpowiednią. Za dużo w niej, jak dla Dominianiaka tragizmu. Stefan Hnydziński (Gabrys) pokazał, że stać go na wysoką grę, że umie kierować swym temperamentem i robić zeń właściwy użytek. Bardzo dobry, „niecodzienny” był Socha w roli Zabrzeźnińskiego, a Brydziński włożył dużo odczucia i prawdziwej artystycznej kultury w postać Ciekockiego. Dobrze też prezentowali się Loedl i Przeradzki, a wcale nieźle wypadł „trzygwiazdkowy” Jaś.

Jedyną kobiecą rolę Smugoniowej objęła p. Modzelewska. Postać ta u Zawieyskiego jest szczególnie „papierowa”, to też p. Modzelewska nie zbyt wiele mogła z niej wydobyć, a wydobyła dużo. Dobre dekoracje skomponował Jarocki.

Stanisław Grzelecki.

„Z pobudek artystycznych” okradał kościoły

Sąd w Gotha rozpatrzył ciekawy wypadek kradzieży wynikłej z pobudek artystycznych. Niejaki dr. Gries ukradł szereg starożytnych bardzo cennych rzeźb z dwóch kościołów turyngijskich. Przed sądem tłumaczył się, iż pragnął ochronić dzieła sztuki przed zniszczeniem, gdyż nie były one należycie konserwowane, a ponadto wydać chciał książkę, po-

święconą mało dotychczas znanemu twórcy wspomnianych rzeźb. Uwzględniając okoliczności sądzący sądził dr. Gries'a na 5 miesięcy więzienia.

Co potrzeba na każdej kolonii letniej?

Nakładem Instytutu Gospodarstwa Domowego ukazała się książka p. t. Żywnienie zbiorowe (Część I. Żywnienie Młodzieży na koloniach).

Książka ta obok wskazówek z zakresu higieny oraz praktycznych dotyczących zakupu i przyrządzania potraw, zawiera przede wszystkim obszernie tygodniowe jadłospisy, niewątpliwie wygodne dla kierownictwa kolonii i obozów letnich wszystkich rodzajów.

370.000 franków za obraz

Na czerwcowej licytacji w hotelu Drouot w Paryżu wysoką cenę uzyskał obraz „Młoda pani przy fortepianie”. Arcydzieło znakomitego, impresjonisty francuskiego Renoir zostało nabyte za cenę 370.000 franków.

HEDDA WESTENBERGER

14)

DR. MED. KARIN FISZER

POWIEŚĆ

Karin Fiszer po śmierci swego męża słynnego lotnika, który w rok po ślubie zginął w katastrofie lotniczej, wstąpiła na medycynę. Od chwili skończenia uniwersytetu, życie jej plynęło między gabinetem lekarskim przy ul. Nettelbeck. w Berlinie szpitalu a domem, gdzie wychowywał Elzę Wendt, którą kiedyś przypadkowo spotkała na ulicy i zabrała do swego domu.

Prof. Hugo Winkler słynny medyk berliński wrócił po 8-tygodniowym pobycie we Włoszech i prosto z dworca przyjechał do Karin podzielić się wrażeniami. Na Capri spotkał młodą osobę Ninę Pasquali, która odznaczała się niezwykłą intuicją graniczącą z jasnowidzeniem. Ponieważ Nina wykazywała także zdumiewającą orientację w zakresie zagadnień — naukowych — medycznych, zaciekawiony Hugo Winkler zaprasza ją do Berlina.

Gdy Karin i dr. Winkler zajęci są rozmową o Italii, Elza w tym czasie poszła do Sport Palas'u, gdzie zawarła przygodną znajomość z młodzieńcem nazwiskiem Hoffman. Do domu wróciła dopiero o 7-ej rano, opowiadając swej pani, że noc spędziła u przyjaciółki. W czasie swych godzin przyjęć Karin dostaje bilecik od męża jednej ze swych pacjentek p. Ullrich, który wyzywa ją do żony.

Zajęty tym rozmyślaniami na chwilę zapomniał o swej trosce, lecz już po chwili, opanowując go spotęgowana trwoga o żonę. Najlepiej zrobi jak zapuka, do którychś z tych drzwi, sam nie wie do których, tyle ich jest! Musi zapukać, czy w ogóle jest jakiś dobry chirurg w tym lokalu...

Czy może coś żonie poradzić... i czy właściwie operacja ślepej kieszki to coś złego, może nawet niebezpiecznego...

Jakaś siostra przechodzi. Milcząca. Biały czepek nasunęła głęboko na czoło. Ullrich patrzy na nią prawie ze złością, że tak spokojnie idzie. Zupełnie jakby się nic nie działo... Przy tym jego żona... dlaczego zresztą o nic go nie pyta? Powinni go się przecież zapytać, czy pozwoli na operację. Każą mu tu wystawać, jak jakimś błaznem i do tego jeszcze palić tu człowiekowi nawet nie wolno!...

Nagle Karin staje przed nim... twarz poważna, bez tego jej uśmiechu.

— Profesor jeszcze dziś wieczorem będzie ją operował, nie można odkładać.

Zbiega przed nim ze schodów — on idzie za nią milcząca. Na ulicy Karin przywołuje taksówkę — wsiadając zwraca się do Ullricha:

— Może pana podwieźć kawałek? Ja muszę jak najprędzej wracać do siebie, tyłu chorych czeka tam na mnie, a na jedenastą muszę tu być znowu. Żona pańska chce, żebym przy tym była...

— Przy czym? Ach tak — przy operacji...

„Pańska żona chce żebym przy tym była”... powtarza sobie Ullrich — a on? Może on ma po Kurfürstendammu tam i z powrotem biegać, podczas kiedy jego żonę będą krajać!...

W tym niepokoju wypowiada to głośno i dosyć gburowato. Karin się uśmiecha. Naturalnie tak powinien zrobić — to będzie najlepiej. W każdym razie ona go nie weźmie ze sobą na operację — to bez żadnego celu. Nagle odzywa się niecierpliwie:

— Niech pan wsiada prędko, muje się strasznie śpieszy. Nettelbeck 15 — rzuca adres szoferowi.

Siedzą w aucie i Karin w dalszym ciągu odpowiada na wybuch Ullricha.

— Tak źle znowu nie jest. Ten profesor - chirurg jest nadzwyczajny. W takich rękach operacja ślepej kieszki to bagatel. Na pewno już jutro wieczorem będzie pan mógł na chwilę zająć do żony.

— A co będzie do jutra wieczór?... — odzywa się Ullrich ponuro.

O mały włos Karin nie położyła mu ręki na kolanie i nie zapytała po macierzyńsku — ile masz lat, moje dziecko?

— Nie potrzebuje pani tak złośliwie się uśmiechać — ciągnie Ullrich dalej — już raz przeżyłem podobną historię, wtedy jak Janeczek się rodził. Chodzi się wtedy z kąta w kąta, czeka i czeka i czarna rozpacz człowieka ogarnia, taki się czuje biedny, choć taki wściekły, że najchętniej by ludzi mordował.

Karin drży z niepokoju o swoich pacjentów. Czekając na nią mała Müller ze swoim wrzodem, i pani radczyni Kröll, i mały Hegerman ze swoją boną... co to u niego?... ach tak... Winkler też ma jeszcze telefonować... wyobrażam sobie jego zdziwienie, gdy się dowiedzie, że Sybilla idzie pod noż. Myśl jej przytem zatrzymuje się na Ullrichu, który siedzi niedbale, kapelusz trzyma w ręku, papieros w ustach, i wydaje się być bardzo zmęczony. Przecież obiecała opiekować się nim...

— Wie pan co, panie Ullrich, jeżeli pan nie wie, co ze sobą zrobić, to niech pan zajdzie do mnie. Dobrze? Zgadza się pan? Wypijemy potem herbatę razem.

Ullrich jakby z obłoków spadł! Ona troszczy się o niego?

— Jak to zanie... jak strasznie zanie z pani strony!

Bardzo dziękuję — naturalnie, że się zgadzam. Jest pani w tej chwili jedyną osobą, którą mogę znieść w obecnym moim stanie.

(D. c. n.)